

# Czesław Miłosz. Jubilat.



Czesław Miłosz, fot. Marek Śmieja.

## **Florian Śmieja**

Wśród starych, zapomnianych papierów odnalazłem niedawno wiele lat temu napisane słowo zagajenia wieczoru autorskiego Czesława Miłosza, który się odbył w Sali Sztandarowej Instytutu im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie 26 czerwca 1963 roku.

To na tym spotkaniu Miłosz m.in. odczytał „Pozycje”, tekst wydrukowany następnie

w „Kontynentach” w numerze 57, wrzesień 1963. W jednym z punktów stwierdził zaskakująco:

*Pisanie i publikowanie poza krajem własnego języka nie jest żadnym odrębnym problemem, skoro się zważy, że trudność porozumienia upowszechnia się i staje się czymś niemal normalnym...*

A także:

*Szczegół kraju w którym się mieszka, obłok, twarz, muszla na plaży, powinien wystarczać do rozgrywania własnej zasadniczej stawki.*

A oto co wtedy powiedziałem:

Szanowni Państwo,

Z szeregu wieczorów autorskich, które urządziliśmy w tej Sali, zapamiętałem poprzedni wieczór naszego Gościa, jakieś sześć, a może siedem lat temu. Byliśmy dumni, że mogliśmy go przedstawić po raz pierwszy londyńskim miłośnikom poezji. Podobne uczucia nurtują mnie i dziś, kiedy znowu mamy zaszczyt powitać Poetę w naszych progach.

Nie muszę podkreślać chyba rzeczy oczywistej, że Czesław Miłosz od dawna jest z nami w kontakcie. Dzisiejszy wieczór potwierdza jego przychyłność, jak świadczyła o niej wypowiedź drukowana w „Kontynentach” kilka miesięcy temu, w której nie szczędząc nam zresztą uwag krytycznych, Poeta dał dowód zainteresowania naszymi poczynaniami. Pomawiał nas wprawdzie o to, że tytuł pisma bezprawnie przywłaszczyliśmy sobie z jego książki. Ale to jest jego wersja prywatna. Naszym zdaniem, to on właśnie nazwał jedną z książek na cześć świetnego pisma – a taki epitet wyczytałem w „Dzienniku Polskim”, naszej londyńskiej wyroczni – na cześć „Kontynentów”. To że uczynił to o rok wcześniej od ukazania się pierwszego numeru miesięcznika świadczy o jego znakomitej intuicji poetyckiej. W jego korespondencji, wreszcie, znajdziemy ślady żywego śledzenia tego wszystkiego, co się w naszym środowisku dzieje.

Jesteśmy mu za to wdzięczni, rzecz jasna, a od siebie możemy go zapewnić o wysokim uznaniu dla jego pisarstwa. Niedawno Gość nasz ukończył pięćdziesiąt lat i mówiący te słowa przemyślał o stosownym uczczeniu tego jubileuszu. Niestety, skończyło się na słowiańskim dumaniu... A Miłosz, zaiste, zasługuje ze wszech miar na uczczenie. Złożylibyśmy w ten sposób hołd człowiekowi o naprawdę imponującym dokonaniu. Przypomnijmy sobie jego dorobek.

Tyle się mówi - i zapewne nie bez racji - o ciężkiej doli emigracyjnego pisarza. O ile sytuacja materialna przedstawia się źle, o wiele smutniejsza jest sytuacja psychiczna. Otaczają nas milczące pióra. Stare talenty jakby wygasły. Obiecujący pisarze dają nam najczęściej utwory marginesowe. Na tle tych długich siedmiu lat chudych Miłosz rysuje się odrębnie. Zadaje kłam tezie, jakoby poza granicami Polski nie można było tworzyć intensywnie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat Czesław Miłosz wydał dziewięć tomów poezji i prozy oraz pięć tomów przekładów i opracowań. Są to pozycje poważne, niektóre przełożono na wiele języków. Jeżeli dodać do powyższej listy eseje i przekłady na język polski, a także na język angielski, otrzymamy imponujący obraz dokonania.

Krytycy, a także wprowadzający, jak ja dzisiaj, niepoprawnie sięgają po jakiś cytat, jakąś myśl, która jakby *in nuce* charakteryzuje osobę, o której mówią, która ukazuje jej poetycką sylwetkę. Jest to proceder nieco ryzykowny lecz wielce pomocny i zrozumiały.

Kiedy wertowałem najnowszy tom wierszy naszego dzisiejszego Gościa „Król Popiel” z 1962 roku, znalazłem w nim na ostatku poemat o Ameryce, bliżej, o Kalifornii. Poemat zresztą na wskroś przeszyty krajobrazem polskim, wsią litewską, utwór miły mojemu sercu za reminiscencje historyczne, za ślady odysei Alvara Nuñeza Cabeza de Vaca i heroicznie sprawnego w rzeczach świeckich franciszkanina ojca Junipery Serra, któremu Kalifornia zawdzięcza tyle pięknych nazw miejscowości jak: Los Angeles, San Francisco, Santa Barbara czy San Juan.

W tym to poemacie znajduje się czterowiersz, który kojarzy w moim umyśle dwa wydawać by się mogło, wrogie obozy, dwa krańcowo różne źródła natchnienia poetyckiego. Poeta dostrzega piękno obu światów i przy dokładniejszym spojrzeniu piękno to jest wcale podobne. Piękno świata, o którym współcześni wolą mówić z

przekąsem i udałość nowego, tak nieludzkiego dla tradycjonalistów. W tym fragmencie widzimy nie tylko możliwości nowej poezji, jest on, wydaje mi się, charakterystyczny dla poezji Miłosza, tej arki przymierza, by posłużyć się utartym określeniem, pomiędzy żywotnymi elementami poezji przedwojennej a odkrywczymi cechami liryki współczesnej.

Można by już cytat poprzedzić wersami początku członu dziesiątego:

*Nad jego grobem Mozarta zagrali*

*Bo nic nie mieli co by ich dzieliło*

*Od żółtej gliny, chmur, nadgniętych dali*

*A pod za dużym niebem za cicho im było.*

Nieco dalej następuje czterowiersz, o który mi chodzi:

*Brzmiał Mozart, z pudru peruk odwinięty,*

*I babim latem unosił się długo,*

*Niknąc nad głową, w tej pustce którądy*

*Szedł odrzutowiec z cienką białą smugą.*

Proszę Państwa, oddaję głos Autorowi.

\*\*\*

Kilka tygodni po spotkaniu, w liście z podparyskiej miejscowości Montgeron datowanym 9 lipca 1963 roku Miłosz napisał m.in.

*Chcę podziękować gorąco za miłe przyjęcie w Londynie i za Pana wstęp do mojego wieczoru autorskiego traktujący mnie niemal jak jubilata...*

Myszę, że od tamtego czasu Poeta miał bardzo wiele okazji, by się do takiego traktowania przyzwyczać.

---

## **Trwać przy zasadach**

**Rok 2017 jest rokiem Josepha Conrada (1857-1924), gdyż w tym roku przypada 160 rocznica urodzin pisarza. Z tej okazji przypominamy rozmowę prof. Floriana Śmieji z prof. Zdzisławem Najderem na temat twórczości Józefa Korzeniowskiego (Josepha Conrada) oraz zdewaluowaniu pojęć honoru i wierności.**



Prof. Zdzisław Najder, fot. Fakt/Forum, Darek Iwański.

*Prof. Zdzisław Najder to polski historyk literatury, wykładowca, specjalista od twórczości Józefa Konrada Korzeniowskiego. Był także przez wiele lat dyrektorem polskiej sekcji Radia Wolna Europa oraz doradcą w rządzie Lecha Wałęsy i Jana Olszewskiego. Wywiad z prof. Florianem Śmieją ukazał się po publikacji książki prof. Zdzisława Najdera „Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada” w 2000 roku. Prof. Zdzisław Najder był wówczas wykładowcą w Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie. Mimo, że wywiad miał miejsce kilkanaście lat temu, niewiele się zdezaktualizował. Twórczość Josepha Conrada jest wciąż jak najbardziej współczesna, a problemy miejsca Polski w strukturach Unii Europejskiej, jak najbardziej aktualne.*

*Redakcja*

**Florian Śmieja: Z okazji ukazania się w Polsce Twoich szkiców o twórczości J. Conrada pt. „Sztuka i wierność” pozwól, że zadam ci kilka pytań. Piszesz, że Conrad był pisarzem anachronicznym, nie należącym do swojego czasu i że jego korzenie tkwiły w tradycji.**

**Zdzisław Najder:** Tak, w sposobie widzenia problemów moralności i ludzkiej wspólnoty był związany z polską kulturą szlachecko-inteligencką – a to już był w ówczesnej Anglii anachronizm. Jego wzory literackie – to książki Flauberta i Maupassanta, wydane ponad ćwierć wieku przed debiutem powieściowym Conrada. Ale równocześnie, i na tym zasadza się jego wielkość, stawianymi pytaniami i artystycznymi eksperymentami wybiegał w przyszłość. Wystarczy wspomnieć „Jądro ciemności”, napisane w wieku XIX i czytane z przejęciem w XXI jak utwór niemal współczesny.

**FS: Przecież jego powieści polityczne także nie straciły na aktualności.**

**ZN:** Właśnie, pytania o przyszłość Rosji, rozdieranej między autokrację a anarchię, postawione przez Conrada dziewięćdziesiąt lat temu, pozostają nadal otwarte. Ale to już wielokrotnie zauważono. Uderza mnie natomiast, że Conrad pisał – w roku 1905 w szkicu „Autokracja i wojna”, i w innych pismach politycznych, o Europie w taki sposób, jakby przeczuwał i sugerował całkiem nam współczesne wysiłki integracyjne

na naszym kontynencie. Widział w nich jedyny sposób na uniknięcie niszczących konfliktów. Był wielkim pisarzem europejskim, może pierwszym i najznakomitszym - w sensie przynależenia do trzech europejskich kultur, polskiej, francuskiej i angielskiej, i w sensie wyjątkowej świadomości bogactwa i różnorodności kultur narodowych, i w sensie podejmowania typowo europejskiej problematyki. Przyjrzałem się temu bliżej, kiedy przygotowywałem do druku polski przekład wykładu o „Europie Conrada”, wygłoszonego jakiś czas temu w Londynie.



Józef Teodor Konrad Korzeniowski, fot. pinterest.

**FS:** Czyżby to zbieżność z twoją własną działalnością jako doradcy rządowego?

**ZN:** Masz rację. Uświadamiam sobie, jakie to są szczególne sploty. Zacząłem się zajmować Conradem pół wieku temu - na znak protestu politycznego, bo to był dla mnie pisarz pokolenia Akowskiego, pisarz wierności, którą komuniści wyszydali. A w ciągu wielu lat od ogłoszenia (w podziemiu) pierwszego polskiego tekstu,



postulującego wejście niepodległej Polski do Wspólnot Europejskich, zajmuję się praktycznie wypełnianiem politycznej wizji Conrada... Dzisiaj jestem przekonany, że nie ma dla nas ważniejszego zadania, niż integracja z Unią Europejską. Europa nie stoi w miejscu: ta na zachód od nas tworzy nowe struktury, podejmuje nowe wyzwania - i powinniśmy być ich uczestnikami, aby mieć wpływ na to, co się dzieje na kontynencie; ta na wschód też się zmienia, wcale nie na naszą korzyść - więc powinniśmy się zabezpieczyć.

**FS: Nie jesteś zatem profesorem, który siedzi w swoim gabinecie?**

**ZN:** Ależ siedzę, siedzę - też. W tej chwili mam przed sobą siedem prac magisterskich do oceny; pięć dojrzeje we wrześniu. Z tej dwunastki moich studentów, piszących prace na temat literatury amerykańskiej i angielskiej, aż troje chce się doktoryzować. A mam już i tak trójkę doktorantów. Masz jednak rację, mnóstwo - może jeszcze więcej - czasu zabierają zajęcia tzw. publiczne. Tak już jest od ćwierć wieku, kiedy w maju 1976 r. ogłosiliśmy w konspiracji program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, a po tym jeszcze czterdzieści dziewięć kolejnych publikacji. M. in. tłumaczyliśmy, że nie ma niepodległej Polski bez zjednoczonych Niemiec i *vice versa*. Jakoś wtedy (1978) nikt nie wierzył. Po tym była Wolna Europa i przymusowa emigracja, a po powrocie Komitet Obywatelski, doradzanie prezydentowi Wałęsie (bezskuteczne) i premierom (czasem się udawało, jak z uznaniem niepodległej Ukrainy w 1991 r.). Jeszcze Klub Atlantycki, też w 1991 - zakładałem pierwszą grupę nacisku za wejściem do NATO. To jednak wcale nie wystarcza, teraz trzeba do Unii Europejskiej. Zająć mi nie brak. Na szczęście moja żona niby narzeka, ale cały czas pomaga.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.

**FS: Czy tak dla Ciebie ważnych pojęć honoru i wierności nie zdewaluowały niedawne czasy i nieludzkie doświadczenia ostatnich pokoleń?**

**ZN:** Te pojęcia istotnie są przez wielu współczesnych uważane za anachroniczne. Warszawska „Więź” wydała jakiś czas temu specjalny numer o „Zagubionej cnocie honoru”. Nie łączę jednak wcale tego kryzysu wartości z okrucieństwami wojny i stalinowskiego terroru. Wręcz przeciwnie: kryzys wywołany jest przez życie z mniejszymi wymaganiami, przez modne hasła skuteczności, pogoń za powodzeniem i zyskiem, jednym słowem przez tryumfy moralnego pragmatyzmu. Nasze czasy nie lubią moralnej twardości, lubią miękkość, telewizyjny wdzięk, umiejętność reklamy. Myślę jednak, na podstawie znajomości współczesnej publicystyki polskiej, że zatracone te wariackie wartości nie przechodzi bez żalu, bez poczucia straty. Stąd wielki autorytet Zbigniewa Herberta. Jego „Przesłanie Pana Cogito” jest tragicznym apelem – w imieniu honoru i wierności. Do wierności odwołuje się też jego szkic „Duszydzka” w tomie „Labirynt nad morzem”.

**FS: Wiem, że Tobie został dedykowany, z czego jesteś dumny. Lecz czy to aby nie jest wołanie na puszczy.**

**ZN:** Nie jestem optymistą, ale też nie mam zamiaru się poddawać. Kiedy mnie wyciągają na wspomnienia o Zbyszku Herbercie, pada zwykle pytanie: na co wyście liczyli w roku 1951, odmawiając kolaboracji z komuną. Otóż nie liczyliśmy na nic. Ta etyka, o której mówisz, etyka wierności i honoru, nie odwołuje się do skuteczności i nagrody.

**FS: Nie sądzisz chyba, że taką etykę mogłyby przyjąć nowe elity „z ich odwiecznymi lękami oportunistów”, jak się wyraził Zygmunt Kubiak?**

**ZN:** Myślę, że głęboką przyczyną tego kryzysu, tej nawet zapaści moralno-ideowo-kulturowej, jaką widać w dzisiejszej Polsce, jest słabość, a często wręcz kapitulacja elit. To jest sprawa ciągnąca się od dwu pokoleń, chociaż nadal niejasno widziana. Nasi okupanci niemieccy i sowieccy wiedzieli, co robią, kiedy ze staranną nienawiścią wybijali elity. Tylko kiedy się mówi o elitach ma się zwykle na myśli inteligencję. Otóż moim zdaniem nie mniej ważny jest fakt, że wybito i zniszczono innymi sposobami elity przywódcze wśród chłopów, robotników i rzemieślników. To byli ci, którzy stanowili bezpośrednie wzory dla swojego otoczenia. Wśród nich było najwięcej ofiar w okresie stalinowskim. I te właśnie elity najstaranniej i najskuteczniej rozbijano w stanie wojennym. Częściowo znalazły schronienie za Atlantykiem, i tam osiągnęły sukcesy życiowe - ale w Polsce ich zabrakło i to się dzisiaj odbija.

**FS: Wróćmy do Conrada. Coz twoim projektem muzeum w Berdyczowie, gdzie się urodził?**

**ZN:** Wiesz, to pytanie równie aktualne jak bolesne. Jakiś czas temu ogłosiłem (w „Rzeczypospolitej”) w imieniu Polskiego Towarzystwa Conradowskiego list otwarty, stwierdzający, że musimy zrezygnować z planów. Mimo wielokrotnie deklarowanego poparcia kół rządowych w Kijowie, naszego rządu, ambasad brytyjskiej i francuskiej, itd., władze miejscowe od pięciu lat skutecznie blokują naszą inicjatywę. Ciężko idzie na Ukrainie; dość wspomnieć muzeum Słowackiego w Krzemieńcu, którego otwarcie jest od lat odkładane - mimo finansowania przez rząd RP. Ciężko idzie. Z Litwą dokonaliśmy przełomu, są wspólne sesje sejmów (litewski nazywa się „sejmas”) - a

na Ukrainie trzeba się ciężko borykać. Ale próbujemy.

**Od redakcji: Muzeum Józefa Konrada Korzeniowskiego w Berdyczowie, dzięki wielkiemu zaangażowaniu prof. Zdzisława Najdera oraz Polskiego Towarzystwa Conradowskiego udało się otworzyć w 2015 r. Oto wypowiedź prof. Najdera na ten temat dla Polskiego Radia:**

**FS: Czy *casus* Conrada może posłużyć emigrantom polskim rozsianym po świecie za pomocny drogowskaz?**

**ZN:** No wiesz, geniusze, wielcy ludzie, rzadko mogą służyć za praktyczne drogowskazy. Choćby dlatego, że są z zasady wyjątkowi. Chyba, że działają w ramach zbiorowości; ale już taki Norwid mógł być „drogowskazem” tylko w sensie intelektualnym.

**FŚ:** A w sensie osobisto-duchowym?

**ZN:** W takim prywatnym sensie Conrad, który żył w cieniu pamięci o rodzicach, którzy wszystko poświęcili dla Polski, i zarazem aż do roku 1918 w cieniu przekonania, że sprawa polska jest na zawsze stracona - uczy nas, że choćby świat dokoła stawał się nieznośny, trzeba robić swoje, trwać przy zasadach, szukać sensu życia we własnej pracy. No ale takie nauki są dla nas, dla ciebie Florianie i dla mnie, łatwiejsze niż dla innych - bo zawsze możemy znaleźć ucieczkę w naszych książkach.

---

Zdzisław Najder. *Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada*, Uniwersytet Opolski 2000 r.

---

# Na Peloponezie



**Florian Śmieja**

## **NA PELOPONEZIE**

*W szczęśliwszych dla wojaży czasach*

*żyłeś Juliuszu*

*Mogłeś oglądać grób Agamemnona*

*i wydumać poemat o połowie walecznych.*

*Ja wiem, że grobu nie ma*

*żadnego poematu o narodzie*

*nikt nie napisze, o tych  
co zyskawszy swobodę rozgrabili mienie  
przestali rodzić mężów o uczciwych sercach  
i rękach czystych. Jakaś zaraza  
stoczyła do cna ich dusze  
skorumpowała plemię tak gruntownie  
że wstyd się dzisiaj przyznać do Polaków  
tyle wśród nas niegodziwości i występku.*

## **MYKENE**

*Z tego miejsca strapiona Klitajmestra  
obserwowała feralne okręty  
powracającego Agamemnona  
inicjując mityczną hekatombę  
Z jej warowni pozostały kamienie  
Przetrwała saga o okrutnym losie  
Bo zła fortuna mocniejsze ma zręby  
niż ludzką ręką stawiane opoki.*

## **HEGEMONIA**

*Peloponeska, jak wszystkie wojny,  
także była o hegemonię.*

*Ludzi pokornych nie unosi pycha  
oręża nie potrzebują zgodni.*

*To hardy głosząc samowolę  
tryumfuje do czasu  
zostawia labirynty, kazamaty  
baszty w ruinie, kruszące się mury.*

*Czas ułagodził dzieje  
niepewnej historii  
pomieszał nieprzyjaciół.*

*Przetrwały krwawiące maki  
i żółte kielichy, jaszczurki  
zwinne na kamieniach.*

*Morza nadal chłodzą  
rozpaloną ziemię  
w pysznej iluminacji dnia.*

## **KŁĘSKA POD TERMOPILAMI**

*Kiedy zajechaliśmy do Termopil*



*słońce było już nisko a zostało  
jeszcze sporo drogi do hotelu.  
Więc sine pasma gór wyspy Eubei  
pamięć o trzystu hoplitach  
sprzed dwu mileniów  
zmęczonym turystom  
darował wyrozumiały przewodnik.*

## **SALOMON**

*Bardzo mądry był Salomon  
miał sto żon  
a wszystkie śliczne  
wabne lecz wyrozumiałe  
przeświadczone zapewne  
że egzotyczna Saba  
nie zawładnie sercem  
ich pana na długo.  
Dawno rozwiązały dylemat  
czy lepiej być jedyną  
nałożnicą osiłka*

*czy kochać się w zorzy?*

## **POWRÓT Z GRECJI**

*Kiedy samolot o świcie oderwał się od ziemi*

*i w tyle pozostawił budzące się Ateny*

*przystało mnie obchodzić tyle, zdawało się, ważnych spraw.*

*Sąsiad Grek z bezczelnością, jak się miało okazać,*

*pewnego siebie biznesmena*

*w lot poinformował mnie, co myśli o Turkach*

*prymitywnych wojownikach, co nic nie stworzyli*

*i o sukcesach swoich bogatych ziomków*

*równie chytrych jak on ludziach interesu.*

*A ja sądziłem, że w powietrzu*

*człowiek ma tylko jedno zmartwienie:*

*by wylądować bez szwanku.*

---

# Konwikt



## Florian Śmieja

Nazwa "Konwikt biskupi" dzisiaj znalazłaby niewiele zrozumienia, a jeszcze mniej entuzjazmu. Inaczej było w 1935 roku, kiedy dziesięcioletni smyk wyczytał ją w tygodniku "Gość Niedzielny", w małej przygranicznej miejscowości na Górnym Śląsku. Budynek instytucji, pokoje, a także fotografia dystyngowanego dyrektora, księdza prefekta, zrobiły wielkie wrażenie na malcu, natychmiast wywołały pragnienie, by się do tej bursy dostać. Nie bacząc na sytuację, odruchowo napisał list do dyrektora, dodając nieporadnym pismem skreślonemu podaniu autorytetu ojcowskiego stempla "Piotr Śmieja, Cegielnia Parowa, Kończyce".

Petycja nie została zignorowana, coś tknęło adresata, by odpowiedzieć na apel śmiałego chłopca. Szef internatu w Tarnowskich Górach radził, że skoro petent jest dopiero w piątej klasie szkoły powszechnej, to potrzebuje zaliczyć szóstą. Dodał, że

na miejscu cieszyła się dobrą sławą szkoła, tzw. Ćwiczeniówka, do której mógł się zapisać do szóstej klasy, a potem zdawać egzamin do gimnazjum.

Ojciec, widocznie na naleganie matki, zgodził się wysłać maślaka do obcego miasta i do innego środowiska z dala od rodzinnego domu. Sąsiadka pomogła usypać pierzynkę i autobusem z matką pojechałem z tobołkami do Tarnowskich Gór. Tak zaczęła się moja trzyletnia przygoda w internacie.

Przy ulicy Powstańców stał duży budynek z czerwonej cegły, dwupiętrowy z kaplicą. To w nim, w dwu dużych salach urządzono sypialnie dla starszych i młodszych uczniów, w dużym pomieszczeniu, zwanym studium, stało kilkadziesiąt pulpitów do odrabiania lekcji po południu i wieczorem. W refektarzu podawano posiłki, które przygotowywały cztery zakonnice także opiekujące się całym gospodarstwem domowym. W piwnicy stały szafki z butami, tam przewidziane było po kolacji powszechne czyszczenie butów.



Konwikt Biskupi w Tarnowskich Górach, fot. wikipedia.

Rozpiętość wieku alumnów wahała się od lat jedenastu, jak w moim wypadku, po

mężczyzn dwudziestoletnich i nieco starszych, repetujących egzaminy maturalne. Obok żółtodzioba z zabitej wioski, były też niebieskie ptaki, co to z niejednego pieca chleb jadły, niektórzy mieli ponoć wilcze bilety i w małej mieścinie śląskiej próbowali szczęścia, by sforsować tę konieczną barierę, która nie pozwalała im pójść na studia. Sądzę, że komplet internatu składał się z czterdziestu kilku osób głównie z terenu Górnego Śląska z garstką przyjezdnych ze stron dalszych, nawet z Francji. Roczna opłata za mieszkanie i wyżywienie wynosiła 600 złotych, a pełne chesne w gimnazjum kosztowało ojca 220 złotych, bo jako osoba prywatna nie miał żadnej zniżki.

Współzycie w takiej grupie było pamiętnym doświadczeniem. Edukowało dosłownie i powodowało szlifowanie jednostek w ciągłym kontakcie z innymi. Starsi koledzy służyli radą i chętnie popisywali się posiadaniem większej wiedzy. Jeden z nich nakłonił mnie do nabycia jego starego podręcznika *“Disce puer latine”*, potrzebnego mi dopiero od drugiego półrocza pierwszej klasy gimnazjalnej, lecz za to nauczył mnie tyle łaciny, że kiedy zaczęły się jej lekcje, wysforowałem się na czoło klasy i już tego miejsca nikomu nie oddałem. Łacinnik, *“Kalwas”*, surowy i postrach uczniów był ze mnie bardzo dumny, nazywając zazwyczaj starszych studentów, końmi Bożymi, kazał im ze mnie brać przykład. Po dziś dzień pamiętam, kiedy go sromotnie zawiodłem w czasie wizytacji dyrektorskiej, i nie potrafiłem odpowiedzieć na jego proste pytanie.

Wtedy też gwara śląską, którą się wyłącznie posługiwałem w Kończycach, zaczęła zastępować polszczyzna literacka. Prawdopodobnie dopilnowali tego nauczyciele, których z kurtuazji nazywaliśmy profesorami. I tak polonista Huza, podkreślał wyrażenia w moich wypracowaniach, kładąc na marginesie uwagi *“gwara”*. Musiałem też w rozmowach z kolegami w klasie używać polszczyzny. W szóstej klasie tzw. Ćwiczeniówce zaprzyjaźniłem się z Halinką, córką majora 11 pułku piechoty stacjonującego w Tarnowskich Górach. Po jego nagłej śmierci często bywałem w domu Halinki, który był naprzeciwko konwiktu. Tam nie mówiono gwara.

Będąc beniaminkiem czeladki w wieku dorastania i konfliktów z autorytetami, byłem wystawiony na sytuacje trudne i nie jednoznaczne. Ksiądz prefekt miał problemy dyscyplinarne z krnąbrnymi i niesfornymi studentami. Niekiedy do rozprawienia się z nimi posługiwał się najmłodszymi wychowankami korzystając z ich naiwnej

prostolinijności. Pamiętam, jak pewnego razu po swojej perorze przeciwko paleniu tytoniu, zauważył czyjąś rękę z papierosem grożącą mu z tyłu.

Nie potrafiąc zidentyfikować sprawcy, wzywał nas, najmłodszych, potem na rozmowy i uzyskał potwierdzenie swoich przypuszczeń. Winny student został wydalony. Do mojego pamiętnika oprócz kolegów wpisywali się niektórzy z naszej starszyny. Zapewne nawiązując do epizodu wyżej opisanego, autor zacytował wierszyk, którego w całości nie potrafię już przytoczyć. Chodziło o prawdę i jej chwalebne cechy.

*...Prawdą Bóg sam.*

*Za prawdę wieczne szczęście cię czeka*

*Lecz gdy masz prawdę zabić człowieka*

*To wtedy kłam.*

W sali studiów obowiązywała cisza, tym dramatyczniej rozległo się pewnego razu stukanie w jednym z pulpitów. Dyżurujący student, senior, podniósł blat pulpitu, by ujrzeć prymitywny odbiornik sygnałów Morse'a, który przemyślny kolega zmajstrował i skutecznie zademonstrował. Wówczas też nauczyłem się konstruowania radia z kryształkiem. W piwnicy urządziliśmy sobie laboratorium chemiczne, paliliśmy siarkę z opiłkami i wytwarzaliśmy śmierdzące gazy. Prąd elektryczny podłączaliśmy do klamki. Wtedy podając sobie ręce tworzyliśmy łańcuch i podskakiwaliśmy, by znieść "kopanie" prądu. Udało się nam raz złapać najmłodszą zakonnicę, która pewnie od tego momentu kojarzyła dotyk mężczyzny z diabelską elektrycznością.



## Tarnowskie Góry na starych pocztówkach

Ponieważ moja matka od czasu do czasu zaopatrywała mnie w masło, na śniadania dostawałem posmarowaną bułkę. Przypominam sobie zatarg z kolegą, który także dostawał bułkę z masłem. Kiedy ktoś mu ją zjadł, on najspokojniej zabrał mi moją, uważając, że postąpił właściwie. Na niedzielne obiady niekiedy bywały kluski śląskie, nieduże i raczej "gumowe". Choć drobny chłopaczek, apetyt miałem dorosły. Zjadłem na raz 25 klusek, bijąc dryblasą, który mógł skosztować tylko 18 sztuk.

Ksiądz prefekt był także naszym profesorem od religii w gimnazjum. Z ministranturą mieliśmy ciągle na pieńku. Wpadliśmy na pomysł, jak ją wreszcie zdać. Zatelefonowałem do księdza gotów zdawać przez telefon. Jeszcze dziś słyszę wezwania w słuchawce "kto mówi, kto mówi". Ale frajerów już wtedy nie było.

Na poczcie, z której telefonowałem, później stałem w ogonku do okienka, gdzie sprzedawano piękny znaczek pamiątkowy na cześć mającego się odbyć lotu balonu

polskiego do stratosfery. Bloczek bodaj kosztował dwa złote, pokaźna kwota dla malucha. Dusilem srebrną monetę i w końcu zrezygnowałem i znaczka nie kupiłem.

Młodszy wychowankowie trzymali przepisowo pieniądze kieszonkowe w depozycie i po obiedzie zgłaszali się do księdza prefekta z zeszytem z prośbą o wydanie drobnych kwot na doraźne wydatki. Z zaoszczędzonych groszy mogli sobie kupić coś dla siebie.

A w Tarnowskich Górach przy ul. Krakowskiej kusił nas salon lodów "Italia". Za 40 groszy podawano tam w niklowanych pucharach porcje wybornych lodów. Zazwyczaj trzy ćwiartki były wypełnione lodami, a czwarta, śmietaną. O takiej pełnej porcji można było tylko marzyć, kontentowaliśmy się, i to rzadko, mniejszą porcją.

Znaczki pocztowe kolekcjonowałem z pasją. Wszystko zaczęło się od odwiedzin mieszkającego w naszej kamienicy w Kończycach lokatora, Wilhelma. Służył on we francuskiej legii cudzoziemskiej. Z dobrych nawyków, które stamtąd przywiózł, była filatelistyka. Uzbierał dużo pięknych znaczków. Urzekł mnie widok jego albumów. Podarował mi kilka znaczków podwójnych. Wśród nich był irlandzki, który pomyliłem z fińskim. Nic mi wtedy nie mówił kształt wyspy irlandzkiej na znaczku, a miałem w przyszłości spędzić na tej wyspie trzy beztrudne lata uniwersyteckie.

Matka aprobowala moje zbieractwo, ale była przeciwna kupowaniu znaczków. Kiedy przyjechała w odwiedzin do Tarnowskich Gór, ja akurat sprawiłem sobie serię znaczków, które pośpiesznie ukryłem na głowie pod czapką. Pech chciał, że mama postanowiła swojego najstarszego ostrzyc. Kiedy weszliśmy do fryzjera, musiałem zdjąć czapkę i pofrunęły moje znaczki...

Gorącym dniem w konwikcie stał się dzień, w którym gruchnęła wieść, że skradziono album ze znaczkami jednemu z wychowanków. Ksiądz prefekt dobrał sobie kilku zaufanych starszych studentów, zamknięto internat i zaczęło się gruntowne przeszukiwanie budynku. Akcja przyniosła rezultat. Na strychu za jedną z szaf album znaleziono. Nie pamiętam już finału całej tej historii.

Sypialnia młodszych studentów była większa od dormitorium starszych. Za winy popełnione i dla nauki, ci ostatni od czasu do czasu, by nas nauczyć respektu, dawali nam w nocy "koca". Przychodzili po ciemku i nie szczędzili batów. Myśleliśmy o odwecie, ale kończyło się na hałasach i rzucaniu jakichś przedmiotów przez



otwarte drzwi. Baliśmy się większego lania w razie schwywania na ich sali.

Obok konwiku stał budynek sądu grodzkiego i więzienie. Widywaliśmy próby komunikowania się więźniów z rodziną podchodzącą do parkanu. Podawaliśmy rzucone niekiedy na nasz teren listy. Z ciekawości zgłosiłem się parę razy, by służyć za ministranta w więzieniu.

Tarnowskie Góry były miastem garnizonowym, w którym stacjonowały dwa pułki: 11 Pułk Piechoty oraz 3 Pułk Ułanów. Trzeba było widzieć ich powrót z manewrów! Całe miasto wylegało na powitanie. Któż nie czuł dumy na widok wyćwiczonych czwórek piechoty, a co dopiero patrząc na setki koni w ułańskich trójkach. Orkiestry dęły z całego serca napędzając rynek i przyległe ulice świętem i radością.

Ułani zapraszali nas chętnie na pobliski poligon, gdzie podziwialiśmy ściganie się jeźdźców, gonitwy, by lancą nadziać kukłę słomianą lub szablą ściąć witkę. Przyglądaliśmy się manewrowaniu taczanek i dział przeciw



*Tarnowitz Krakauerstraße*

Tarnowskie Góry na starej pocztówce.

ernych, które stawiały czoła makietom czołgów wytaczanych na horyzoncie. Ileż to było emocji, ile obaw i nadziei. Na "kryj się, lotnik", wyły syreny nad miastem, kiedy samotna awionetka symulowała nieprzyjacielską inkursję samolotów w polskie niebo.

Z synem pułkownika 3 Pułku Ułanów, Bohdanem, rywalizowałem z powodzeniem w pierwszej i drugiej klasie, mimo że mógł on liczyć na nadzwyczajne posiłki w postaci swojej matki, która pojawiała się na wywiadówkach w obłokach perfum, a cała kadra pedagogiczna śpieszyła, by pocałować ją w rękę. Moja matka nie wiedziała, co to jest wywiadówka.

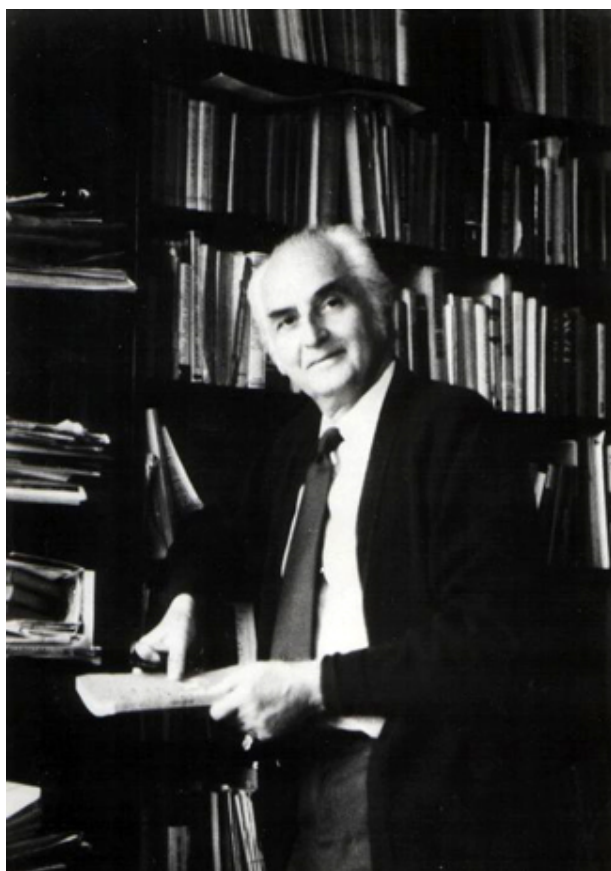
Zabawną polszczyzną mówił nasz germanista Knosala, a matematyk, Broniec, część lekcji poświęcał sprzedawaniu papierowych ekierek i kątomierzy. Kosztowały one grosze, ale i o nie musiał się upominać w czasie spotkań z rodzicami. Zobaczyłem go po raz ostatni 1 sierpnia 1939 roku, kiedy przejeżdżałem przez Kraków, a on stał w kolejce do kasy biletowej na dworcu. Nasz pan od geografii, Henryk Wójcik, jak słyszę, pochodził z Opolszczyzny, z której tak jak nasz germanista salwował się po przegranym plebiscycie. Jego obsesją było poznawanie Polski, kiedy nie agitował za popieraniem Funduszu Obrony Narodowej i budowaniem ścigaczy dla obrony wybrzeża.

Już jako dwunastolatek, absolwent szóstej klasy szkoły powszechnej (Ćwiczeniówki) zabrałem się z wycieczką przez niego organizowaną do Wilna i Pińska. Było nas około pół setki chłopców i dziewcząt. Chłopcy byli z wyższych klas gimnazjum i liceum im. ks. Jana Opolskiego, a dziewczęta, tzw. "Raciborzanki", Polki z Niemiec uczęszczające czasowo do szkoły w Tarnowskich Górach póki budowało się dla nich gimnazjum w Raciborzu. Wśród nich była Anna Bożkówna, córka Arki Bożka, przywódcy Polaków w Niemczech, którego komuniści najpierw wynieśli na urząd wicewojewody, a potem z innymi działaczami polskimi na Opolszczyźnię, sponiewierali i zniszczyli. Ona opiekowała się mną podczas owej wycieczki, która odwiedziła Łódź i jej przedziałnie i tkalnie, Warszawę, Puszcę Białowieską z Hajnówką i żubrami, Wilno z jego Ostrą Bramą i cmentarzem na Rossie, z wycieczką "Panem Tadeuszem" do Werek, następnie do Baranowicz, Łunińca i Pińska, z wypadem parowcem "Orzeł" na jezioro Horodyszczce. Po wielu latach skonstatowałem, że naszą przewodniczką po Wilnie była poetka, Zofia

Bohdanowiczowa.

W roku 1938 na naszym szlaku znalazły się Poznań i Gdynia. Byliśmy też na Helu i odwiedzili Oksywie ze stawiaczem m.in. "Gryfem". W czasie tej wycieczki wypaliłem mojego pierwszego papierosa, by się solidaryzować z klasą. Na szczęście, na tym skończył się mój romans z tytoniem.

W lokalnym kinie byłem kilka razy, pamiętam, że podobał mi się film z uroczą Kanadyjką, Deanną Durbin. Ale dobre filmy były dostępne od lat szesnastu, a z tym był, oczywiście, kłopot.



Leopold Pobóg-Kielanowski, fot.  
Encyklopedia Teatru Polskiego.

Do teatru natomiast trzeba się było wybrać do innego miasta. Nie zapomniałem wycieczki klasy do Katowic do teatru im. St. Wyspiańskiego na hiszpańską sztukę Calderona w przekładzie Juliusza Słowackiego "Księżę Niezłomny". Był to rok 1938. Niezatarcie wrażenie zrobili na mnie strojni portugalscy infanci, którzy pokazali się po podniesieniu kurtyny. Jeden z nich wygłosił piękne tyrady. Był nim przystojny

Leopold Pobóg-Kielanowski, młody aktor i reżyser hołdujący idei teatru monumentalnego.

W czasie wojny pojawił się w Anglii i był wielokrotnym reżyserem Teatru Polskiego w Londynie. Przypomniawszy wtedy swoje udane inscenizacje z Polski, również "Księcia Niezłomnego", którego już sam nie zagrał.

W Katowicach dla swawoli wspólnie z kolegami chrupałem głośno suchary w momentach najwznioślejszych. Odpokutowałem burszowskie wybryki później, kiedy zostawszy iberystą byłem promotorem pracy doktorskiej właśnie poświęconej "Księciu Niezłomnemu". Z kurtuazji bardziej niż realizmu posłałem Kielanowkiemu w Londynie do wglądu mój przekład moralitetu Calderona "Tajemnice Mszy Św.", z którego on, w warunkach emigracyjnych, rzecz jasna, nie mógł skorzystać.

I tak wśród nauki i zabaw płynęły młode lata. W czasie letnich wakacji znalazłem się w Katowicach i byłem świadkiem manifestacyjnego pogrzebu Wojciecha Korfantego. Zdało się, że cała Opolszczyzna przysłała przez granicę w barwnych strojach żegnać swojego tragicznego bohatera i przywódcę, nieświadoma, że z jego odejściem miała nastąpić era okrutnej wojny i dramatycznego przewrotu.

---

## **Późne notacje - poezja Floriana Śmieji**



## Zbigniew Andres

Poezja Floriana Śmieji ma swoje miejsce we współczesnej kulturze. Zapoczątkowana na obczyźnie przed ponad pół wiekiem (tom debiutancki, *Czuwanie u drzwi*, Londyn 1953) i ciągle tworzona z dala od kraju, rozwija się nieprzerwanie i pomnaża, wzbogaca się o coraz to nowe akcenty, coraz głębsze refleksje, bogatsze myśli sprawdzane i niejako pieczętowane doświadczeniami życia. Jest to więc poezja kształtowana z perspektywy emigranta, poety konfrontującego dwa obszary kultur, zatem w szczególny sposób patrzącego zarówno na sprawy polskie, jak i na problemy uniwersalne, dotyczące w ogóle człowieka. Nie bez znaczenia jest zatem to, iż powstaje na ciągle niepewnym gruncie, bo w warunkach obczyzny, ale i wśród zawirowań historii, a więc w niestabilnej przecież sytuacji egzystencjalnej.

Jest więc w tej poezji coś, co zachwyca, fascynuje i coś co wzbudza zarazem niepokój, skłania do refleksji, poniekąd zaskakuje niespodziewanymi efektami. Na uwagę zasługuje metoda twórcza poety. Z doświadczeń i obserwacji najprostszych

nawet zdarzeń, które na co dzień towarzyszą ludzkiemu życiu, czerpie on bogactwo myśli, przenikliwie dostrzega prawidłowości, sensy i absurdy. Zatrzymuje się przy owych powszednich sprawach i tutaj poszukuje okazji do głębszej zadumy nad światem oraz życiem, po prostu nad problemami, wobec których najczęściej przechodzi się obojętnie, bądź które świadomie próbuje się oddalać z pola widzenia. Florian Śmieja eksponując, wydawałoby się nienowe, wielokrotnie przez poetów podejmowane tematy, odświeża je i nadaje im pogłębiony wymiar. Odwołuje się do dobrze sprawdzonych, wypróbowanych twórczych strategii. Droga jego wyobraźni kieruje się często ku wspomnieniom. W akcie twórczym ożywia się pamięć i ona właśnie stanowi nie tylko niewyczerpane źródło motywów, ale pozwala także przenosić myśli w wymiar czasu uniwersalnego, sprawia, że stają się owe myśli zawsze aktualne. Z tej właśnie konfrontacji, a więc zderzenia się jakby na kliszy pamięci przeszłości z teraźniejszością, rodzi się zamyślenie nad sprawami, które stanowią treść ludzkiej egzystencji, zatem nad doznaniem i doświadczeniami, które nie omijają człowieka, które ciągle stają na jego drodze. Urodę świata, atrakcje życia, nieczęste zresztą, przysłania więc metafizyczny niepokój, smutek przemijania, rozmyślanie nad przemianami czasu. W tym nurcie refleksji pojawia się też motyw ojczystego kraju, zatroskanie o jego losy, i motyw rodzinnych stron, „małej ojczyzny”, śląskiej ziemi, wplątany w wysublimowane wspomnienia. Emocjonalna tkanka tego właśnie motywu najbardziej wyraziście uwidoczni się w wierszu o jakże wymownym tytule: *Przesłanie*. Warto ten krótki utwór przywołać tutaj w całości:

*Świat może być ojczyzną*

*i nieraz nią bywa*

*lecz matka jest jedna*

*i święta ziemia*

*która cię zrodziła.*

*Dla innych Śląsk to szansa*

*ziemia obiecana*

*szczebel do sławy*

*ja go utraciłem*

*dlatego się smucę.*

Jest to jakby poetycka deklaracja, swoisty manifest twórcy kontemplującego swoją sielską, utraconą bezpowrotnie, przeszłość. Perspektywa emigracji odsłania się tutaj wyraźnie. Ona organizuje specyficzny, pełen nostalgii ton tego wiersza. Szczególnie dużo tego rodzaju utworów zgromadził poeta w tomie *Wśród swoich*. Znamienne, że tom ten powstał właśnie w późnych już latach twórczości Floriana Śmieji, a więc w czasie, gdy powroty do arkadyjskiej krainy młodości, zarówno te realne, odbywane w obecnych już warunkach jakże często, jak i te dokonujące się w sferze wyobraźni, w wymiarze głębokich doświadczeń wewnętrznych, wiążą się z doznaniem o szczególnej randze emocjonalnej.

Utwory o podobnym temacie i podobnej tonacji, konfesyjne, pełne niezwykle subtelnego liryzmu, obecne są także i w innych tomach poety. Przypomnijmy tutaj, dla przykładu, fragmenty wiersza *Inwokacja* ze zbioru *Bezrok*, w którym nostalgiczna, elegijna nuta brzmi jeszcze wyraźniej:

*Bądźcie mi pozdrowione*

*górnosląskie Opole*

*Kamieniu Odrowążów*

*góro Świętej Anny*

*starki Pana Jezusa*

*gwarą szepcząca Odro*

*Gogolinie z piosenki*

*Dobrzaniu, Siołkowice*

*Arkadio mego dzieciństwa:*

*was noszę w sobie jak szkaplerz*

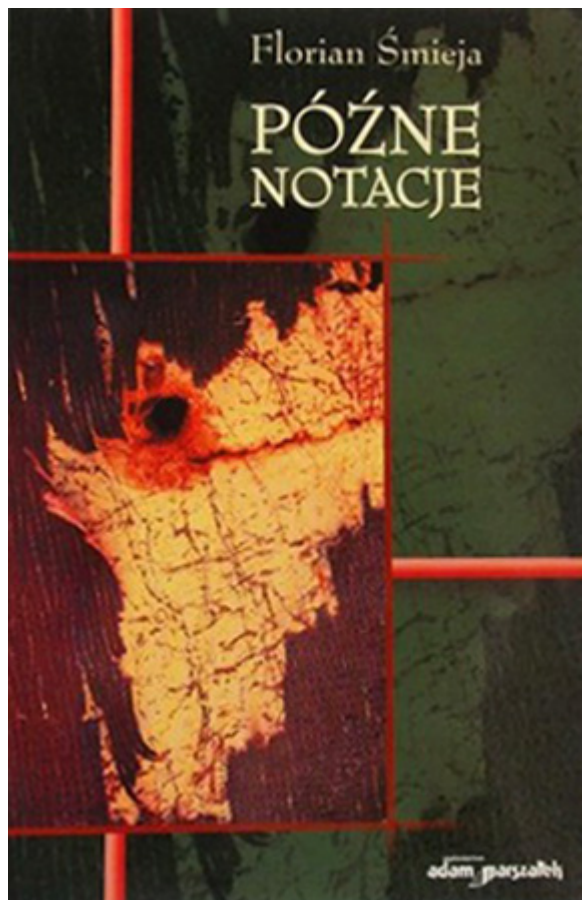
(.....)

*Ziemio krzyży przydrożnych*

*bocianów, ładu i wiary.*

Opublikowane, w dobrze już zasłużonej dla polskiej kultury toruńskiej oficynie Adama Marszałka, *Późne notacje*, to czternasty tom poetycki Floriana Śmieji. Na tom ten złożyły się wiersze z trzech ostatnich jego zbiorów wydanych w Kanadzie (Silcan House, Mississauga): *Niepamiętanie* (1999), *Bezrok* (2001), *Nad Jeziorem Huron* (2002). W dołączonych tutaj *Variach* zaś znalazły się wybrane utwory m.in. z tomów nieco wcześniejszych: *Ziemie utracone* (1994) oraz właśnie ze wspomnianych przed chwilą *Wśród swoich* (1998). Można więc w skrócie powiedzieć, że są to wiersze, które tworzone były w ostatniej dekadzie minionego wieku, zwłaszcza na przełomie stuleci. Powstała wówczas znaczna część dorobku poety, może nawet, w przybliżeniu, blisko połowa wszystkich jego utworów. Ta szczególna aktywność twórcza to zapewne wynik nagromadzonych doświadczeń życiowych, rosnącego niepokoju, dojrzałej refleksji oraz ukształtowanej postawy dystansu wobec spraw ważkich i błahych, ale także w pewnym sensie i rezultat okoliczności innej natury: nowej sytuacji literatury emigracyjnej, a więc procesów integrujących całą polską kulturę, tym samym także wzrostu zainteresowań twórczością poetów dotąd w kraju mniej znanych.





W tomie *Późne notacje* w sposób szczególnie wyraźny daje o sobie znać ukształtowana, dobrze utrwalona, postawa wobec świata i ludzi. Ujawniają się przekonania, poglądy, punkty widzenia, bogate doświadczenia, jakich dostarczyło życie, zatem wszystko to, co stanowi o charakterze i granicach tej twórczości. Poeta - powracamy do myśli w tej pracy już sygnalizowanej - wśród zjawisk świata i w formach ludzkich zachowań zauważa reakcje zgodne z naturą i prawem, ale też i różne niedorzeczności oraz paradoksy. Są to więc wiersze problemowo niejednorodne, w których częściej może niż w okresie wcześniejszym pobrzmiwać ton rozliczeniowy. Na czoło wysuwają się tematy eschatologiczne, motywy przemijania, samotności, starości, śmierci. Informują o tym już same tytuły

utworów. Wymieńmy tylko niektóre: *Niepamiętanie, Notes, Odchodzenie, Duchów obcowanie, De senectute, Nagrobek, Uchodzenie życia, Zachód słońca, Nekropol w Carmonie, Stary poeta, Na śmierć poety, Zjawia*. Zobaczmy więc, jakie treści kryją się pod niektórymi tylko, wymienionymi tu, tytułami:

*Zanim się spostrzegłem*

*mój stary notes*

*stał się spisem umarłych.*

*Na której by go stronie*

*nie otworzyć*

*same puste adresy*

*i nieme telefony.*

*(Notes)*

*Już więcej moich przyjaciół jest po drugiej stronie  
po tamtym brzegu, za ścisłym kordonem.*

*Przybywa ich. Przewoźnik zdążyć nie potrafi,  
a na mnie patrzą nieme fotografie.*

*W brzózkach się snują widma niewyraźne  
przywidzenia to, pamięć, złąkła wyobraźnia?*

*(Duchów obcowanie)*

*Łatwo nauczyć się chodzić*

*odchodzenie jest trudne*

*(.....)*

*odchodzenie najlepiej wdrażać*

*zanim się człek zakorzeni*

*(Odchodzenie)*

*Za długo żyjesz, mój drogi*

*jesteś, gdy rówieśnicy odeszli*

*żegnałeś ich, odprowadzałeś*

*ten luksus już nie dla ciebie.*

*(Stary poeta)*

Taki właśnie ton przeważa w utworach z ostatniego tomu Floriana Śmieji. Ale nie jest to jednak poezja skrajnie pesymistyczna. Mimo wspomnianych tutaj motywów, dominującego nastroju, jest ona otwarta na życie. Poeta próbuje opisywać, o czym była już w tym szkicu mowa, prawidłowości tego życia, jego odwieczne problemy i aspekty. W wierszu *Z czego wiersz?*, dedykowanym księdzu J. Szymikowi, znajdujemy na przykład następujące sformułowanie:

*Z życia nam lepić poezję  
nie z teorii, suchych dociekań  
szkolarskich konstrukcji.  
(.....)  
tylko rozwiś swe druty  
a ściągniesz mocne sygnały  
tobie wysyłane, byś nimi  
wytyczał drogę pewną  
przerzucił kładki  
przetwarzał okolicę  
krzepił i śmiał się zarazem  
z pocieszności wnuczki.*

Autor *Późnych notacji* ważną rolę przypisuje przyrodzie. Właśnie przyroda pełna egzotyki, majestatu, tajemniczości (Jezioro Huron), także ta najbliższa, wśród której żyje się na co dzień oraz wypełnione nią krajobrazy budzące zachwyt i podziw swoją urodą, przenoszą zmęczonego życiem wytrwałego wędrowca w wymiar wymownego mitu, jakby w swoisty „zaczas” (tu znamienny tytuł tomu: *Bezrok*). Regenerującą moc ma również zakorzenienie w realiach stron rodzinnych. Utrwalone w pamięci,

przeżyte emocjonalnie, realia z tych stron stają się źródłem ożywczej siły, a tym samym punktem oparcia wobec niepewnej codziennej egzystencji.

---

## Tobrukowi z pomocą

*Wspomnienie Józefa Poniatowskiego, redaktora naczelnego „Orła Białego”, pisma 2 Korpusu gen. Wł. Andersa, opracowane przez jego zięcia Floriana Śmieję.*

**Florian Śmieja**



Bitwa o Tobruk w 1941 r.

## Polska Brygada

**Karpacka** w sile ok. pięciu tysięcy żołnierzy w dniach **18 do 25 sierpnia 1941 roku** popłynęła do **Tobruku**, by złuzować jego obrońców, głównie Australijczyków, w siedmiu konwojach spod Aleksandryjskiej miejscowości El Amiriya w Egipcie.

W bazie pozostało kilkuset ludzi w tzw Legii Oficerskiej. Nie pojechali, gdyż brakowało im wyszkolenia bojowego, przeszkadzał wiek i stan zdrowia. Część z nich miała popłynąć kolejnym konwojem z Aleksandrii, więc dokładała wysiłku, by się zakwalifikować do wyjazdu, o którym, ponoć, tak było głośno, że całe miasto o tym wiedziało.

Wśród szykujących się do transportu znajdował się porucznik Józef Poniatowski, późniejszy redaktor andersowskiego tygodnika „Orła Białego” w Iranie i Włoszech. Jego niepublikowane zapiski mam pod ręką i zaglądam do nich, aby artykułowi przydać autentycznego kolorytu lokalnego.

Po wypłynięciu 25 października wieczorem z portu dodatkowy konwój nabrał szybkości na wysokości Sidi Barrani. Wojaż najpierw uraczył żeglujących egzotycznym widowiskiem latających ryb, które Polakom wydawały się być ptakami.

Ale wnet potem skończyła się idylla, a zaczęły się nocne naloty niemieckich samolotów nurkujących. Nalotów tych było sporo i ta liczba zaczynała martwić, choć autor wspomnień próbuje je racjonalizować chłodną dedukcją przyrównując je do zapamiętanych z Polski ataków wrześniowych:

*Właściwie każdy poszczególny nalot nie był cięższym przeżyciem, niż bombardowanie w pociągu pod Czeremchą 6 września 1939 roku. Raczej przeciwnie, tam działo się to w dzień, bez artylerii, a więc prawie przy bezkarności napastników, bomby spadały bardzo blisko i niebezpieczeństwo było niewątpliwie większe. Nawet okoliczność, że tu się było na wodzie, o kilkadziesiąt km od lądu i obok szansy trafienia odłamkiem czy podmuchu miało się szanse utopienia, albo wylecenia w powietrze w razie trafienia w nasze torpedy czy miny głębinowe lub inną amunicję, której dostatek mieliśmy naokoło, nie równoważyła tamtych warunków. Jedna wszakże była poważna różnica: tamto trwało wszystkiego razem (trzy naloty po trzy samoloty) 15 minut, a to trzymało nerwy w napięciu ponad trzy godziny, nie licząc okresu przygotowawczego w godzinach popołudniowych.*

Jeden z okrętów konwoju, stawiacz min „Letonia”, został trafiony przez bombę i stanął w płomieniach, eksplodowała następnie wieziona przezeń amunicja. Niszczyciel „Hero”, na którym była największa grupa Polaków i nasz świadek, podpłynął do niego i zabrał załogę, a jego dowódca nakazał wahającemu się kapitanowi feralnej jednostki opuszczenie jej i przejście na jego pokład.

Na domiar złego, mimo że byli już w pobliżu zbawiennego portu w Tobruku, ich okręt także ucierpiał jak miało się okazać, bo wstrząs, który odczuli w pewnym momencie to nie było żadne zderzenie z palącym się statkiem ale:

*wybuchem ciężkiej bomby, która nie trafiła okrętu lecz padła o kilka lub kilkanaście metrów. Wybuch trochę uszkodził środek okrętu, wytworzył szpary, którymi nalało się nieco wody, a które uszkodziło urządzenie elektryczne i wentylacje motorów. Dlatego właśnie światło zgasło i dlatego szybkość spadła z 30 do 13 węzłów. Zdaje się, że i urządzenie sterowe doznały szwanku. W tym stanie rzeczy Admiralicja słusznie zakazała kapitanowi wjazdu do Tobruku, od którego już byliśmy o jakie 40 km, a niektórzy widzieli błyski tamtejszej artylerii i bombardowanie portu. O ile bowiem nawet udałoby się nas wysadzić, statek prawdopodobnie musiałby zginąć w drodze powrotnej, bo świt zastałby go jeszcze na wodach libijskich.*

Nastąpił więc ostrożny odwrót, by wykorzystać ciemności i znaleźć się w zasięgu samolotów sprzymierzonych. Pojawiły się też inne kontrtorpedowce, które eskortowały poszkodowanych szczęśliwie do portu.

*Była niedziela, więc zbudowano na pokładzie ołtarz i nacz. kapelan ks. kan. Pietruszka odprawił Mszę św. przy czym nasz chór śpiewał, a jak się rozśpiewał to i po nabożeństwie śpiewał i świeckie pieśni ku podziwowi i zadowoleniu Anglików. Na ogół zapanowała wielka przyjaźń między nami, a załogą „Hero”i paru oficerami z „Latony”, którzy wyszli na pokład.*

Innej już wyprawy do Tobruku nie podjęto, a wnet potem jego oblężenie zniesiono.

Zdążył jeszcze walczących obrońców odwiedzić niespodziewanie gen. Władysław Sikorski, który później pojawił się także w Aleksandrii i na uroczystości jego powitania i defilady przybył również kapitan niszczyciela „Hero”.

O samym Sikorskim autor wspomnień pisze:

*...z wiekiem stracił tę sprężystą postawę, która mogła pociągać przed kilkunastu laty, ani zaś rozkaz ani tym mniej przemówienie nie odbiegały niczym od przeciętności i raczej słabo były przystosowane do tego specyficznego audytorium. Takie już jest jednak nastawienie żołnierza, że wzrusza się samym faktem widzenia i słuchania Naczelnego Wodza i to jest oczywiście dobrze dla dyscypliny. To też nie umiając poddać się temu dodatniemu nastrojowi, byłem daleki od jego rozpraszania, przeciwnie, uważam, że jakkolwiek by się oceniało osobiście człowieka, jeśli nie ma się wpływu na zastąpienie go przez innego, należy dążyć by Naczelnny Wódz miał jak największy autorytet.*

Autor pamiętnika ogromnie żałował nieudanej wyprawy do Tobruku. Nie wiedział, że nim wojna się skończy, zawędruje jeszcze do Bagdadu, a także, że będzie oglądał wraz z Melchiorem Wańkowiczem dopiero co zdobyty przez polskich ułanów klasztor na Monte Cassino.

Nie mógł także przewidzieć, że wraz z Jerzym Giedroyciem zafasuje od rozgniewanego generała Andersa parę tygodni aresztu domowego za wydrukowanie Janowi Bielatowiczowi arykułu przyrównującego obronę Tobruku do bitwy o Monte Cassino.

---

## Nad jeziorem Huron

*Jest w tej poezji coś, co zachwyca, fascynuje i coś co wzbudza zarazem niepokój, skłania do refleksji, poniekąd zaskakuje niespodziewanymi efektami.*

## Florian Śmieja



fot. Jacek Gwizdka

### JEZIORO W NOCY

Nocą jezioro Huron szumi najwymowniej.

Posądzam je o czary: podejrzewam

że wlewa się do niego Odra

umorusana Czarnawka, siołkowicka Brynica

których wody obmywały moje dzieciństwo

a teraz razem kołyszą mnie i zwodzą

łudząc, że wszystko jest jak trzeba.



## ZACHÓD SŁOŃCA

Gęganie wracających pod wieczór ptaków

krzyk nienasyconych mew

i dźwięki irlandzkiej harfy

dobywane przez starszą panią

w płomiennej peruce

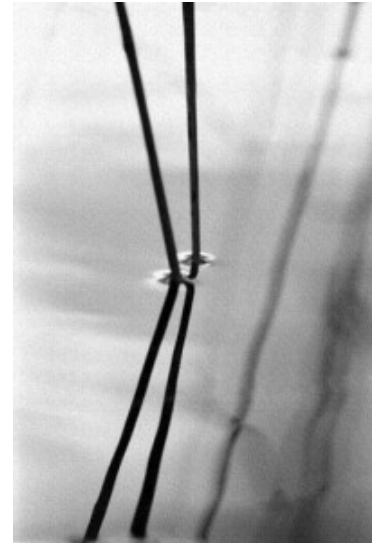
towarzyszą zachodowi słońca

nad brzegiem jeziora Huron.

Łatwiej nam celebrować zmierzch

ufając w zmartwychwstanie.

## ŚWIT



fot. Jacek Gwizdka

Ciemność poraziło światło  
pozieleniałe od świerków  
nagle obecnych w milczeniu  
misterium nowego dnia.  
Dziś trzeba odjeżdżać  
upłynął ścisły termin  
skończyło się mleko, opróżnił  
słoik z błyskawiczną kawą.  
Popakowane stoją tłumoki  
wracamy do domu  
do spraw odłożonych na potem  
do obowiązków nie cierpiących zwłoki  
codziennych spraw, do siebie

od którego uciec się nie da.

DAR

Grzmoty i błyskawice wprowadziły budzący się dzień.

Nagły szkwał przybliżył szum ożywionego jeziora

posypały się z nieba krople grube jak grochy.

Ogromny klucz gęsi zawrócił wcześniej z pastwiska

choć podniosły się niskie chmury

i powiał ciepły, zachodni wiatr.

Nie tylko z pogodnych dni składa się życie.

darem jest najlichsza jego cząsteczka

splendorem niezasłużonej, życzliwej hojności.

DRZEWA



fot. Jacek Gwizdka

Niespodziewany wiatr od jeziora  
zatargał wami wczoraj o zmroku.

Bałem się, że runiecie na dach  
jak kiedyś sąsiednie drzewa.

Potem długo świeciły błyskawice  
i siekły grube krople. A oto  
widzę was świeże w porannym słońcu  
nie pamiętające grozy, gotowe  
zielono wieńczyć nowy dzień.

ZANIM

Zanim ogarnie mnie zubożenie  
a każda ma odpowiedź zabrzmi: po co?  
chciałbym jeszcze podeprzeć kruchą gałąź  
podtrzymać skrzydło zmęczonego ptaka  
dziecku dać uśmiech, spragnionemu wody.  
Nie zbuduję już grodu, dodam kamyk  
zdrowia nie wrócę śmiertelnie choremu  
lecz nie odmówię ciepłego dotyku  
dobrego słowa, ufego spojrzenia  
drobiny światła przed idącą nocą.